

Moje spotkania ze żmijami

Kiedy się pracowało w Sudetach, spędzając całe dni na drogach i bezdrożach, więcej na bezdrożach, wtedy spotkania ze żmijami należały do codzienności. Czasem w jednym dniu dochodziło do kilku takich spotkań, a bywało, chociaż nieczęsto, że znajdowało się kilka żmij w jednym miejscu.

Najmilej wspominam tę, z którą pewnego słonecznego przedpołudnia wymienialiśmy uprzejmości. Zdarzyło się to na północ od Lubomierza; po kilkukilometrowym marszu właśnie doszłam do pierwszego w tym dniu punktu obserwacji, do niedużej skałki, sterczącej przy końcu polnej ścieżki. Już na pierwszy rzut oka ukazywała swoją naturę: żyła białego kwarcu.

Dopisywał mi humor, pogoda także cieszyła, więc ochoczo wstąpiłam na najwyższą półkę, całą oblaną światłem. Wtedy doszedł mnie cichy szelest: coś, co na tej półce leżało czy też siedziało szurnęło w pobliskie krzaki. Spojrzałam - nic, żadnego ruchu. Żmija? Niekoniecznie, nie wszystko co wygrzewa się na kamieniu i szeleści wśród poszycia musi być żmiją. W każdym razie to miło ze strony tego stworzenia, kimkolwiek ono jest, że ustąpiło mi miejsca.



Fot. Janusz Rubisz

Żyła wystawała z gruntu na przestrzeni kilkunastu metrów, spękana, szczeliny porośnięte ziołami. Na jej krawędziach wynurzały się płyty łupków łyszczykowych i do nich należało przyłożyć kompas,

w jednym miejscu i w drugim. I ostukać młotkiem połyskliwy kwarc. Zebrać okruchy łupków i obejrzyć je pod kieszonkową lupą. Na tych czynnościach zeszła mi chyba godzina. Potem usiadłam na owej najwyższej półce, żeby opisać całą odsłonkę i wskreślić na mapę pomiary. Wreszcie nadeszła chwila odpoczynku: rozsiadłam się wygodnie, pogryzając kanapkę i uniosłam twarz ku słońcu. Dookoła błoga cisza, tylko owad czasem bzyknął. Pachniała macierzanka. Ciepło – ciepłutko. Zaczynałam „odpływać”.

Naraz dobiegł mnie szmer, z tego samego miejsca, w jakie – a, prawda – oddaliło się tamto stworzenie. – O – pomyślałam sennie – ustąpiło mi miejsca, a teraz uznaje, że dość tego dobrego i ono chce wrócić. I właśnie przypomina mi delikatnie, że to jego taras słoneczny. Ale to chyba jednak żmija! Nic innego –.

Ależ się poderwałam. Więcej z zaskoczenia niż ze strachu, nie pamiętam jak zbiegłam ze skałki i w okresie czasu zwanym przez Anglików „in no time at all” znalazłam się paręnaście metrów dalej.

Tam się zatrzymałam. Trzeba było wracać, koniecznie. Pozbierać porozkładane rzeczy i zabrać swoją torbę. Niech tam, teraz ja ci ustąpię miejsca na wygrzanym kamieniu. W końcu niczego wyraźnie tam nie widziałam.

Zobaczyłam kilka godzin później. Dostyc daleko od tamtej skałki, więc to był inny osobnik. Jego tożsamość gatunkowa nie budziła wątpliwości: sercowata główka, przez cały grzbiet biegł szlak połączonych czarnych rombów. Leżał na skarpie porośniętej wrzosem, brunatne ciało ułożone w ciasny zygzak. Ten zygzak miał w sobie coś złowieszczonego. Nie, to na pewno nie był tamten „uprzejmy”, ale właśnie jego minęłam spokojnie, co może dać asumpt do psychologicznych rozważań, jakie bodźce wywołują, a jakie nie wywołują w nas reakcji lękowych.

Innego sezonu pracowałam w okolicach Pilchowic koło Jeleniej Góry. Towarzyszył mi młody praktykant – on zbliżał się do końca studiów, ja je właśnie ukończyłam. Któregoś dnia, kiedy przechodziliśmy przez las, uderzył nas okropny smród; była to dobrze nam znana woń sromotnika. Sromotnik bezwstydnny, tak brzmi jego pełna nazwa, to grzyb potrzebujący much, żeby rozsiewały jego zarodniki i przywabia je wydzielając woń padliny. Nazwa łacińska, *Phallus impudicus*, określa jego pokrój nader trafnie i na widok trzonów wyrastających tu i tam z leśnej ściółki poczułam się jak w surrealistycznym śnie. Przerwaliśmy rozmowę, oboje trochę zażenowani; nagle naszą uwagę ściągnął jakiś ruch między korzeniami najbliższego drzewa.

Były to dwie małe żmijki. Długie na kilka i kilkanaście centymetrów, jedna trochę większa, cienkie jak palce człowieka i zwinne, nosiły na skórze wzory żmijego ciała, wyrysowane czyściej i z większym kontrastem niż u osobników dorosłych. Mój towarzysz poskoczył ku nim z młotkiem w ręce – wtedy jeszcze węże nie były objęte ochroną i zabijano je albo starano się zabijać. Ale cofnął się, bo żwawe skręty drobnych ciał miały siłę naprawdę odstraszącą. Wiły się jak metalowe sprężynki; te ruchy groziły: skoczę i zabiję, bardzo chcę skoczyć i zabić, nic mnie nie powstrzyma.

- Ciekawe, czy małe już są jadowite – spytał chłopak, a może to ja zapytałam.

- Nie wiem – odpowiedziało drugie z nas.

Potem dowiedzieliśmy się, że tak.

- Mama może być w pobliżu. I nie będzie zachwycona naszą obecnością, lepiej zabierajmy się stąd.

I oddaliliśmy się. Natomiast do dzisiaj nie wiem, czy założenie przez żmiję gniazda w otoczeniu sromotników było przypadkiem, czy też z jakiegoś powodu jej odpowiadało.

Miałam tam koło Pilchowic ciekawą odsłonkę: ciemne łupki łuszczkowe, silnie przeobrażone, zaś między płatami łuszczków tkwiły wydłużone soczewki kwarcu. Te same siły, które sprasowały skałę pokruszyły znajdujące się w niej kryształy kwarcu, zmeły je i uformowały w oka, białe, wydłużone jak oczy na egipskich portretach. Jak się miał kierunek tego sprasowania do innych kierunków tektonicznych obserwowanych w okolicy? Czy te łupki uformowały się wcześniej niż skały sąsiedniej formacji, czy równocześnie z nimi? Tej skałce można było zadawać pytania i pracować nad zdobywaniem odpowiedzi. Już parokrotnie ostukiwałam ją i mierzyłam charakterystyczne kierunki i kąty. Wznosiła się przy ścieżce w głębi lasu, z jej szczytu można było dojrzeć spoza pni drzewnych ciemne wody jeziora.

Prowadziłam wtedy kurs kartografii geologicznej dla studentów. Moi kursanci i kursantki mieszkali na kwaterach u gospodarzy we wsi; każdy z nich dostał do skartowania inny wycinek terenu. Któregoś dnia zabrałam ich wszystkich na całodzienną wycieczkę, żeby im pokazać najbardziej interesujące odsłonięcia. Do skałki łupków doszliśmy, pamiętam, wczesnym popołudniem. Zatrzymałam się przed nią - i znieruchomiałam. Cała grupa otoczyła mnie i wszyscy patrzyli.

Na najniższym występie skalnym leżał w efektownej pozie wąż ze znajomym zygzakiem biegnącym wzdłuż grzbietu. Drugi ułożył się na nieco wyższym występie, trzeci zdobił obszerną półkę. Studenci wypatrywali i liczyli wraz ze mną:

- Patrzcie, tutaj u podnóża. To będzie czwarta.
- O, piąta - tam wysoko.
- A tam szósta, widzicie?

Doliczyliśmy się siedmiu żmij na jednej skałce.

- Jakiś zjazd rodzinny - mruknął ktoś.
- Albo konferencja.
- Nie, „wczasy na skałce”.

Najpierw leżały nieruchomo, jednak nasza obecność została zauważona i wywołała reakcję: niektóre zaczęły powoli zmieniać pozycję.

Odwróciłam się do swoich podopiecznych:

- Proponuję, żebyśmy odłożyli obejrzenie tej odsłonki na inną okazję...

Każdy z moich kolegów, zwłaszcza starszych, miał w zanadrzu kilka podobnych historyjek do opowiedzenia. Jak wspomniałam, żmij było wtedy dużo i należało je tłuc bądź też zbierać żywe i oddawać do zakładów farmaceutycznych, czym niektórzy z nas dorabiali sobie do skromnych pensji czy też stypendiów. Żaden z opowiadających nie poniósł przy tym szkody; wśród sudeckich geologów nie słyszałam o żadnym przypadku ukąszenia przez żmiję. To żmije przegrywały tę wojnę.

Najwięcej barwnych opowiadań miał nasz profesor, który jeszcze przed wojną pracował w Karpatach Wschodnich. W wypadkach w tamtejsze dzikie ostępy często towarzyszyła mu żona; oboje wyruszali w teren w wysokich trzewikach i skórzanych getrach po kolana. Któregoś dnia, w głębi puszczy znaleźli nową odsłonkę skalną. Profesor (wówczas jeszcze młody pracownik naukowy) wysunął się nieco

naprzód, wyjął notatnik i zaczął ją szkicować. Naraz z tyłu dobiegło go ostrzegawcze wołanie żony:

- Nie ruszaj się z miejsca!

Nie ruszył się, natomiast obejrzał: stał na głowie żmii, a ona owijała się wokół jego łydki.

Dla człowieka to zdarzenie stało się tematem do opowieści z dreszczykiem. Dla węża oznaczało śmierć.

Moje ostatnie spotkanie nie miało w sobie niczego dramatycznego: duża żmija pełzała sobie po podmokłej łące na terenie Słowińskiego Parku Narodowego. Cała czarna, tak czarna, że trudno było wypatrzeć charakterystyczny wzór wzdłuż grzbietu, ale to była ona, istota dobrze mi znana.

„Kędy wąż śliską pierśią dotyka się ziola...”

Potem jadowite węże zobaczyłam na ekranie telewizora, w reportażu o tym, jak się je „pozyskuje” gdzieś na bezdrożach Kazachstanu. Biedny Kazach ugania się po stepie i po długim, uciążliwym tropieniu udaje mu się schwytać węża; za jednego dostanie ledwie marne grosze, więc trzusi się od rana do wieczora tropiąc następne, a złowione wrzuca jednego po drugim do skórzanego bukłaka i w ten sposób zarabia na utrzymanie swoje i swojej rodziny.

Jest warte zastanowienia, na czym polega groza, jaką wzbudzają w człowieku wszystkie węże, jadowite i niejadowite. Mają nieruchome spojrzenie, tak, ale to dotyczy ich ofiar, my wszak nie spoglądamy im w oczy. Wzbudza lęk dziwna, wydłużona postać i pełzanie skrętnymi ruchami; wzdrygamy się na myśl o dotknięciu zimnego i śliskiego („oślizgłego”) ciała. Nie ma w tym stworzeniu niczego znajomego - nie wydaje dźwięków, nie objawia emocji znanych u innych zwierząt. Tylko niepokojący zygzak, groźba wyrażona układem ciała: skoczę i zabiję.

Ale to są żywe istoty, kręgowce, mają system nerwowy i jakoś, nie wiemy jak, odczuwają to co je spotyka. Czy sądzicie, że stłoczone wraz z innymi osobnikami w tym bukłaku nie odczuwają stresu? Nagle zgarnięte ze znanego im świata, wrzucone między inne, nie mające pojęcia co się dzieje ani co je czeka - myślicie, że nie cierpią?

Dalej ukazano obróbkę żywego materiału w laboratorium. Węże, zabrane z nagrzonej i pachnącej ziołami powierzchni stepu, teraz przebywają wśród szkła, plastiku i sztucznego światła. Ani jeden element tego świata nie jest im znany. Myślicie, że one nie znają przerażenia?

Nadchodzi moment pobierania jadu. Węża przenosi się do innego pomieszczenia, metalowym narzędziem unieruchamia się mu głowę. Nieszczęsne zwierzę miota się w rękach przesładowcy usiłując ochronić swoje dobra osobiste, jakim są wydzielina jego gruczołów, swoboda poruszeń i wola wydzielania bądź nie wydzielania jadu. Na próżno. Bezlitosne ręce człowieka są silniejsze. Gad znowu przegrywa.

Ludzi na świecie coraz więcej, zwierząt coraz mniej. Powiecie: Trudno, jad służy leczeniu, i tak musi być. Więc znowu odłowi się węże i wyleczy ludzi. Ludzi przybędzie, ubędzie węży.

Wojna trwa.

Halina Dobrucka

Fragment niepublikowanej książki „Jest wojna”.